Dodatek do Nr. 26 „Prawdy".

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 13. Niedziela, dnia 25-go Czerwca. Rok 1911

BOŻEK MILION.

Powieść przez Waleryę Marrene (Morzkowską).

(Ciąg dalszy.)

— Powtórz, że to być nie może — nalegał Wilhelm coraz natarczywiej, bo trwoga i rozpacz i jego także ogarniać zaczynała.

Ale w tej chwili Amelia zbliżyła się do brata, i kładąc rękę na jego ramieniu, szepnęła wskazując na ojca.

— Nie męcz go daremnie, czyż nie widzisz, że on tego powtórzyć nie może?

Jakkolwiek cicho wymówione były te słowa, hrabia dosłyszał je, i podniósł piorunujący wzrok na córkę; a jednak żadnej groźby ni przekleństwa wymówić nie śmiał, tylko wpatrywał się w syna przez chwilę z rodzajem żalu, jakby szukał na tej pięknej twarzy, w tych regularnych rysach, śladu innego uczucia niż duma i nienawiść. Szukał daremnie; oczy Wilhelma gorzały gniewem tylko.

— Ojcze, — wyrzekł z rodzajem wymówki, — jak mogłeś być tak nieroztropnym, by go zostawić w możności szkodzenia!

Te gorzkie słowa były słusznem następstwem wypadków i charakterów. Syn niezręcznego oszusta wymawiał mu przepaść, w którą go pociągał za sobą. Kose źrenice hrabiego zamigotały.

— Zapytaj siostry, — odparł głosem, w którym wściekłość mieszała się z szyderstwem, — zapytaj siostry, skąd i jakim sposobem dostarczyła mu dowodów przeciw własnej rodzinie, dlaczego chce hańbą okryć dom ojca.

Na te słowa męża, hrabina, która dotąd nic a nic nie rozumiała, o co chodzi, uczuła się w obowiązku coś dodać; tem bardziej, że córkę uważała jako swoją wyłączną własność, i sobie jednej przyznawała prawo strofowania jej i prowadzenia.

— Amelio, cóż to znaczy? — wtrąciła wznosząc swoim zwyczajem z pobożnem oburzeniem oczy w sufit.

Ale w tej chwili moralnego kryzysu, słowa hrabiny przeszły niepostrzeżone. Jak zwykle w podobnych razach, istoty nie będące na wysokości położenia, odsunięte bywają na bok, chociażby najmocniej były interesowane w toczących się kwestyach. Los całej rodziny rozstrzygał się tutaj, a żona i matka nie przypuszczona do zaufania męża, nie znająca działań ni uczuć jego, nie pojmująca własnych dzieci, była temu obcą zupełnie. Nikt nie zadał sobie nawet pracy wytłumaczyć jej straszną rzeczywistość, bo zresztą na cóżby się to przydało? Złe było spełnione, a następstw jego nikt już nie mógł zażegnać ani odwrócić. Teraz syn obwiniał ojca, ojciec córkę; ale córka, przywykła schylać głowę przed wolą jego, nie ulękła się gniewu.

— Ja nie dostarczyłam mu żadnych dowodów, — wyrzekła, — a gdybym i mogła to uczynić, on nie przyjąłby ich ode mnie.

Amelia, przywykła sama do niesprawiedliwości, nie mogła jej znieść, skoro chodziło o Kiljana. Przecież korespondencya jego rodziców nie znaczyła nic w obliczu prawa, on sam jej to powiedział. Ale ta dumna odpowiedź nie zwróciła nawet uwagi ojca.

— A więc skądże je ma, skąd ma? — wołał hrabia, zapominając się w widocznej rozpaczy.

— Czemuż ich nie zniszczyłeś! — wybuchnął Wilhelm.

W tej stanowczej chwili, ludzie ci odkrywali się zupełnie z moralnym bezwstydem, wypowiadali, do czego byli zdolni. Ojciec mógł się był zwierzyć synowi bezpiecznie; stali oni na równi, nie mieli sobie nic do wymówienia prócz niezręczności lub wypadku, który zniweczył tak mądrze wykonane plany.

— Nawet oryginały tych aktów nie istnieją już dzisiaj. Po spaleniu się katedry w Valparaiso byłem zupełnie spokojny, — mówił hrabia, niby usprawiedliwiając się przed synem.

Gdyby Amelia miała jakąbądź wątpliwość co do faktów towarzyszących śmierci hrabiego Juliusza, rozproszyłyby ją te słowa. Ona już oddawna osądziła ojca; a jednak nie mogła znieść obojętnie potwierdzenia najohydniejszych domysłów swoich.

Łzy gorące rzuciły się z jej oczów.

Feliks Horecki uwierzył jej na słowo, gdy się zaparła współudziału w sprawie Kiljana. Znał ją, wiedział, że byłaby zdolną bryzgnąć w oczy jemu i bratu swą zemstą, i w tej chwili widok jej był mu nieznośny. Dał jej znak, by się oddaliła. Hrabina, dla której to wszystko było zagadką, i która czuła arystokratyczny wstręt do wszystkiego, co zatra-

cało interesami materyalnemi, powstała także i wyszła za nią, nie bardzo siląc się dowiedzieć, o co chodziło.

Ojciec i syn znalazłszy się sami, odetchnęli swobodniej. Wilhelm zbliżył się i stanął przed ojcem.

— To być nie może, — zawołał, — by on zniszczył od razu mienie i dobrą sławę naszego domu; przecież wszystko jeszcze straconem nie jest.

Hrabia zakrył twarz rękami.

— Wszystko stracone, — wyrzekł urywanym głosem; — znam go, on nie wystąpił do walki bez dowodów.

— Skądże je mieć może, — pytał Wilhelm, który z energią rozpaczy bronił się od tego przekonania do ostatka, — skoro oryginały i kopie przepadły? Bo wszakżeż zniszczyłeś je ojcze? — pytał wpatrując się z trwogą i wyrzutem w pobladłą twarz jego.

— Zniszczyłem je, — odparł głucho zapytany, — duplikaty gdzieś istnieć musiały.

— Przekleństwo! — wycedził Wilhelm przez zaciśnięte zęby, — trzeba było dom wywrócić a wyszukać je koniecznie.

— Czyż wiedziałem o nich!

— Czemuż mnie nie powierzyłeś tej całej sprawy ojcze! ja nie byłbym pozwolił na to, co się stało.

Na te słowa stary hrabia spojrzał na syna z nieujętym wyrazem pogardy i szyderstwa. W tej chwili nie szukał w nim współczucia ani pociechy, nie rachował na pomoc żadną z jego strony; ale chociaż pokonany, czuł wyższość swoją nad tym butnym szermierzem, który nie doznawszy nigdy żadnej trudności, o niczem nie wątpił. I szybko myśl jego przebiegła wątek wypadków. On także szukał, w czem się przerachował, w czem uchybił, skoro gmach pracy całego życia runął mu nagle pod nogi. I wówczas stanął mu w pamięci ekskamerdyner brata, ostatnia scena, jaką z nim przechodził, i od której nie słyszał więcej ani o nim ani o jego córce. Czy według umowy odpłynął on do Ameryki? co się z nim dalej stało? czy pochłonęły go fale morskie? czy też on z ukrycia uzbroił rękę Kiljana?

Hrabia przypomniał sobie jego zuchwałe mowy i skrywane pogróżki; on jeden wiedział za wiele, on jeden mógł przemówić. A usta rozwiązał mu postępek tego syna, który teraz zwracał się przeciwko ojcu, i śmiał mu wyrzucać wykrycie długoletniej grabieży. Teraz on z kolei przemówił do Wilhelma głosem, w którym pomimo okropność położenia, dźwięczała ironia.

— Ty, coś taki przewidujący, czemuż nie obrachowałeś jakie mogą być skutki lekkomyślności twojej? czyż brak ci było ładnych dziewcząt w Warszawie, żeś nie mógł zostawić w pokoju córki kamerdynera twego stryja?

— Jakto! — zawołał Wilhelm, uderzając się w czoło, — ten nędznik śmiałby....

— Ten nędznik był od młodości w usługach brata mego. Czyż nie wiedziałeś o tem?

— On wiedział wszystko?

— Wszystko. Dotąd okupywałem jego milczenie i byłbym okupił je zawsze; ty, ty sam przeważyłeś szalę losu przeciwko nam. Ten człowiek kochał swoją córkę.

Wilhelm stał chwilę w miejscu z głową spuszczoną; czoło jego krajało się w fałdy, a oczy zachodziły krwią i przybierały ostry wyraz uwydatniający podobieństwo jego z ptakiem drapieżnym.

— Ten człowiek nie ujdzie mi, — szepnął przez zaciśnięte zęby.

Hrabia wzruszył ramionami.

— To byłaby świetna sprawa, — wyrzekł szyderczo, — nowy skandal dodany do skandalicznego procesu, nowy dowód przeciwko nam. Zresztą ten człowiek zrobił już wszystko złe, będące w jego mocy; dziś jest rozbrojony.

— Więc mamyż czekać bezczynnie, aż nas obedrą z całego majątku, — zawołał Wilhelm z tą naiwnością cechującą czasem łotrów pewnego świata, którym zdaje się, że mają święte prawo grabieży i zaboru nad wszystkiem, czego zapragną.

— Milczenie bezczynnością nie jest, — odparł z namysłem ojciec; niewczesnym wybuchem nie pogarszaj naszej sprawy, zostaw ją mnie.

I gdy to mówił, znać było, że w umyśle jego przygnębionym narazie niespodziewanym ciosem, snuć się zaczynały nowe plany i zamiary, ale nie uznał za stosowne podzielić ich z synem.

Może też w pierwszej chwili przesadził doniosłość tej sprawy. Czyż miliony, które miał w ręku, nie mogły przeważyć szali sprawiedliwości na jego stronę? przecież wykonawcami każdego prawa są pojedyńcze osoby, a on wiedział z doświadczenia, że te pojedyńcze osoby łatwo nakłonić tam, gdzie jest przewaga materyalnej potęgi. Hrabia Feliks pogardzał ludźmi, i miał do tego prawo. Wszakże wszyscy przyjaciele brata jego opuścili Kiljana dla bożka Miliona; a gdyby przez największy z przypadków znalazł się mu na drodze człowiek nieskazitelny, czyż niema tysiącznych sposobów wyminięcia podobnego człowieka, lub odjęcia mu władzy szkodzenia?

Hrabia Feliks zaczął spoglądać na sprawę swoją z tego praktycznego punktu widzenia; jednakże uważał za potrzebne naradzić się z biegłym prawnikiem, i nie namyślając się długo, posłał po niego. Wkrótce znana nam dobrze postać mecenasa zjawiła się we drzwiach salonu.

Hrabia siedział w tym samym fotelu, przy wygasłym ogniu kominka; przy nim na małym stoliczku stał świecznik sześcioramienny, i rzucał blask swój na twarz jego stroskaną i cyniczną. Pierwsze spojrzenie objaśniało prawnika, który niemniej od Horeckiego miał wzrok przenikliwy, że zaszło tutaj coś ważnego. Hrabia powitał go lekkiem skinieniem głowy, wskazał mu krzesło naprzeciw siebie, i nie mówiąc słowa, oddał mu pozew trzymany w ręku. Mecenas rozwinął go i z uwagą czytać zaczął, a przez ten czas Feliks patrzył na niego z natężeniem, jak pacyent w twarz doktora, który ma zawyrokować o życiu lub śmierci jego. Ale wyraz tej twarzy nie obiecywał nic pomyślnego; na wstępie zaraz przybrała ona wyraz przykrego zdziwienia. Prawnik czytał dalej z wzrastającą uwagą, skończył, i nie śpieszył się objawić swoje zdanie — tylko machinalnym ruchem złożył papier, i obracał go w rękach z namysłem. O czem myślał on w tej chwili, trudno było odgadnąć. Czy o swoim kliencie zawikłanym w tak skandaliczną sprawę, czy też o sobie samym, i o tem, że nie umiał odgadnąć, z której strony słońce zaświeci, i wypuścił z ręki tak

świetną sposobność zysku i sławy? Najbieglejszym ludziom zdarza się popełniać podobne niezręczności — to jedno mecenasowi za pociechę służyć mogło. Położył pozew na stole i spojrzał na hrabiego wzrokiem wcale innym, niż ten, którym powitał go na wstępie; uniżony uśmiech znikł zupełnie z ust jego. Byłto symptomat fatalny, dowód, że sprawę Horeckich z góry za przegraną uważał. (C. d. n.)

Śpiew narodowy.

Niemasz nic wspanialszego, piękniejszego i bardziej przemawiającego do duszy, jak śpiew.

Zwłaszcza śpiew ojczysty ceni każdy naród, rozwija go, podnosi, uszlachetnia i szczyci się nim przy każdej sposobności.

Każdy naród, choćby nawet o najniższej kulturze narodowej, ma swój śpiew narodowy. Najdziksze plemiona pielęgnują śpiew, chociaż nie wyrobiony, używając go przy każdej sposobności. Znane są nam z opisów tańce i śpiewy wojenne czerwonoskórych plemion Ameryki; śpiewają, chociaż niedoskonale, ludy azyatyckie i niemasz chyba narodu, czy najmniejszego plemienia, któreby w śpiewie nie widziało piękna i nie napawało się nim, jako rzeczą wzniosłą.

Europa, ta kapłanka i krzewicielka wszelkiego piękna, rozwinęła śpiew do najwyższej doskonałości. Przecudne melodye ludów europejskich wywołać muszą podziw i zachwyt. Pieśń tam, to wylanie wszelkich uczuć na zewnątrz. Zwłaszcza na wysokim stopniu postawili śpiew Włosi i Hiszpanie, których niezrównane tony pieśni swojskiej wprost porywają za serce. Wspaniałe mają pieśni Francuzi; doskonale śpiewają Anglicy i ludy skandynawskie, ale tony pieśni słowiańskich ludów przechodzą wszystko. Nie rozwijają oni głosu szkołą, nie rozwijają go w konserwatoryach, a jednak ich rzewne, smętne pieśni ludowe wprost chwytają za serce. Niech się zejdzie kilku nie wyszkolonych Rusinów, Serbów czy Czechów, a utworzą sobie od razu przepyszny chór i śpiewają na głosy, jak najlepiej wyćwiczeni. Śpiew leży w ich naturze, tkwi w sercu, duszy, z pod której się wyrywa!

A ze wszystkich szczepów słowiańskich najpiękniej śpiewają Polacy. Potęga ich pieśni przechodzi wszystko, co śpiew dać może. Tony pieśni polskiej raz huczą gromem, to znowuż łkają płaczem małej dzieciny, a czasami żalą się skargą niewinnie krzywdzonego. W pieśni polskiej jest wszystko: jest moc, piękno, rzewność, uczucie, cała siła narodu.

I nie można wprost pojąć, coby się stało z nami, gdybyśmy nie mieli własnego śpiewu narodowego. Brzmi on skargą w chwilach cierpienia, łka żalem nad krzywdą, koi balsamem pociechy, wpływa do głębin duszy, niecąc nadzieję na przyszłość.

Bez pieśni nie masz narodu — nie masz przyszłości. Pieśnią usypia matka swoją dziecinę w kolebce, pieśnią rolnik i rzemieślnik osładza sobie znojną pracę, pieśnią modli się lud do Boga w kościele, pieśnią zabawia się na chrzcinach i weselach, pieśnią w końcu żegna zmarłego brata. Wszędzie pieśń, miła pieśń, dźwięczna pieśń...

Pieśń polska sławną jest od wieków. Nią się zagrzewało rycerstwo do boju z nieprzyjacielem, potęgą jednej pieśni „Boga Rodzico Dziewico". Po skończonym boju pieśń brzmiała zwycięsko lub rozlewała się bądź to błagalnym tonem „Boże coś Polskę", bądź też nadzieją, wyrażoną w znanym marszu Dąbrowskiego.

Dlatego Polacy powinni przechowywać ten drogi skarb, pielęgnować i rozwijać. Nie pojmujemy nawet wprost, jakby tak na obchodach narodowych, wieczorkach, koncertach i innych zabawach czy uroczystościach naszych mogło się obejść bez pieśni polskiej. Zabawy te i uroczystości byłyby martwe, bo brakłoby na nich największego, najdoskonalszego piękna.

To też krzewmy śpiew nasz narodowy. Nie zapominajmy o ślicznych polskich piosenkach i pieśniach; uczmy tych śpiewek dziatwę naszą, niech i nadal przechodzą z ojca na syna i służą ku rozrywce i przyjemności naszej.

SAMOKRYTYKA.

„Poznaj siebie samego", tę prawdę głoszoną przez mędrców starożytnych i my często przypominać sobie powinniśmy. Poznaj i oceń siebie samego, poddaj słowa i czyny twoje surowej własnej krytyce, zanim zostaną skrytykowane przez drugich.

Zdolność i dążenie do ocenienia samego siebie objawia się czasem bardzo wcześnie. Oto sześcioletni chłopczyk, który co dopiero przyszedł do szkoły. Przypatrzmy się, z jaką powagą i skupieniem stawia literki na tablicy. Już linijkę wypełnił mniej lub więcej niezgrabnymi, odetchnął jak robotnik po ciężkiej pracy i krytycznem okiem ogląda pismo. Nie, nieładne — myśli mała główka i energicznym ruchem gąbki zmazane nieładne litery, owoc mozolnego wysiłku.

— Czemuś zmazał literki, pyta Mama.

— Bo były nieładne, napiszę lepsze — odpowiada mały krytyk.

I z nową gorliwością i energią zabiera się do pracy. A Mama wzruszona tym objawem samokrytyki wielką ma ochotę ucałować małego, ale powstrzymuje ją jakiś szacunek dla jego pracy, której przerwać nie śmie.

W takich i podobnych naiwnych objawach samokrytyki widzimy, że ona już u dzieci towarzyszy każdej seryo pojętej pracy, że nieodłączną jest od obowiązku.

Jeżeli zaś jeden z myślicieli nazwał obowiązek „boskim bratem pracy", wtedy samokrytyka z pewnością jest pracy siostrą i nieodłączną towarzyszką. Samokrytyka jest delikatną wagą, na którą kładziemy uczynki i prace nasze z jednej, wymagania zaś życiowe i obowiązki z drugiej strony. Jeżeli szala naszej pracy zbyt lekka, wtedy człowiek surowo i sumiennie się oceniający, dokłada coś więcej, gotów zawsze dodać raczej, niż ująć.

Samokrytyka koniecznie powinna regulować wychowawczą pracę rodziców. Ona wskaże nam, czy wady i winy dzieci nie są jedynie skutkiem niedbalstwa i lekkomyślności rodziców, czy nie wynikły po prostu z naśladowania n. p. gadulstwa u matki, gniewu i popędliwości u ojca.

Jak słońce rozprasza cienie nocy, mgły i opary, tak w jasnem i bezstronnem świetle samokry-

tyki nie mogą się ostać ani zarozumiałość, ani pochlebne mniemanie o sobie, ani brzydkie i rażące samochwalstwo.

Pielęgnujmy zatem od najwcześniejszych lat samokrytykę w dzieciach, niech się uczą sądzić sami swe prace szkolne i bez rozkazu starszych naprawiać wszelkie braki.

Im surowiej sądzimy siebie samych, tym pobłażliwiej drudzy sądzić nas będą. M. G.

PRAKTYCZNE RADY.

Krótkie reguły życiowe.

Spełniaj:

1. Umiarkowanie: Wstrzemięźliwy człowiek unika wybryków i jest zadowolony z tego, co zaspakaja jego potrzeby.
2. Milczenie: Mów tylko to, co może być użytecznem tobie lub innym.
3. Porządek: Każda rzecz w domu niech ma swoje wyznaczone miejsce, każdą pracę wykonuj o właściwym czasie.
4. Stanowczość: Bądź zawsze gotów uczynić to, co masz spełnić i czyń bez zwłoki to, co postanowiłeś.
5. Oszczędność: Pozwalaj sobie na takie tylko wydatki, które służą dla dobra twego lub innych. Nie trwoń nic, odkładaj zawczasu na starość lub biedę.
6. Pracowitość: Nie trać czasu, bądź zawsze zajęty czemś użytecznem, a wstrzymaj się od czynienia tego, co niepotrzebne.
7. Szczerość: Strzeż się wykrętów, myśl uczciwie i sprawiedliwie, mów, jak myślisz. Dalekiem niech będzie od ciebie kłamstwo i obłuda.
8. Sprawiedliwość: Nie szkodź nikomu, czy krzywdząc go, czy też zaniedbując dobre, do którego jesteś zobowiązany.
9. Ochędostwo: Nie znoś brudu na ciele, na ubraniu, w domu!
10. Spokój: Nie unoś się dla lada drobnostki, a także niech cię nie drażnią zwyczajne lub nieuniknione wydarzenia!
11. Czystość: Nie zakłócaj nigdy pod tym względem twego sumienia, spokoju, czci i dobrego imienia twej własnej osoby i drugich.
12. Pokora: Naśladuj Jezusa Chrystusa!

Wartość pożywna owoców i jarzyn.

Wielu jeszcze dzisiaj sądzi, że owoce i warzywa to tylko łakotki i rzecz zbytku, a co najwyżej przyznaje, że jest to przyjemny, ale nie konieczny dodatek do pokarmów. Pogląd ten ma swe uzasadnienie do pewnego stopnia w wysokich stosunkowo cenach tak warzyw jak i owoców. Wysokie te ceny powinny nas jednak pouczyć, że popyt przewyższa podaż — owoc i warzywa bowiem należą do najkonieczniejszych środków spożywczych, co dzisiaj coraz szersze masy ludności odczuwają.

Warzywa nietylko są zdrowiu pożyteczne, głównie obfitością różnych soli dla ciała naszego niezbędnych, ale i największej ilości najskuteczniejszych lekarstw rośliny właśnie nam dostarczają, nadto są źródłem ciepła i dają najposilniejsze pożywienie. Należy tylko — prócz grzybów i silnie gnojonych roślin kapuściastych — nie odgotowywać warzyw różnych i wody nie odlewać, bo tym sposobem ginie sporo najcenniejszych soli rozpuszczalnych.

Cukier w owocach zawarty, równie jak miód pszczelny, reguluje trawienie, dopomaga wytwarzaniu się krwi, czynności muskułów, serca i t. p., kwasy owocowe znowu w bardzo dodatni sposób oddziałują na trawienie, a ponadto zapobiegają rozwojowi różnych chorobotwórczych grzybków w naszym żołądku; słowem, owoc dojrzały jest bezwarunkowo zdrowym i zdrowie podtrzymującym dodatkiem do pożywienia tak dla dzieci, jak dla dorosłych i starców. Owoc na równi z warzywami jest nietylko zdrowym, ale i wcale pożywnym, bo n. p. 1 kg. suszonych śliwek zawiera 608, gruszek 620, a jabłek 723 jednostek pożywczych, gdy 1 kg. ziemniaków zawiera takich jednostek 310, 1 kg. świeżego śledzia 719, 1 kg. białka kurzego jaja 648, 1 kg. mleka krowiego 328, a 1 kg. chleba razowego 881 takich jednostek — czyli nie zbyt wiele więcej od suszonych jabłek!

Wielu twierdzi z uprzedzeniem, iż świeży owoc jest często niezdrowy i że przy wszystkich chorobach żołądka należy unikać owoców. Kto spożywa owoce tak wprost, jak je u przekupki zakupi, ten oczywiście bardzo często może sobie zaszkodzić, na zakurzonych bowiem owocach, często zwłaszcza uszkodzonych, gnieździ się mnóstwo mikro-organizmów chorobotwórczych. A więc wszelaki owoc ze straganu, choćby miał być ze skórki obierany, należy wpierw opłukać w świeżej wodzie! Także zbytni dodatek cukru przy zagotowywaniu owoców może wywołać zaburzenie żołądka. Ostrożnie przygotowywany owoc, bez ziarnek i skórki, nie szkodzi nawet przy katarze żołądka lub kiszek. Naturalnie, że niedojrzały owoc z powodu za wielkiej ilości kwasu wywołuje podrażnienie żołądka, a także kto je dużo owoców, choćby dojrzałych, a napije się potem wody lub piwa — może wywołać gwałtowne zaburzenia.

Kwasy owocowe łatwo rozpuszczają metale i wytwarzają tym sposobem często niebezpieczne trucizny — unikać więc należy przy gotowaniu owoców nieczystych naczyń miedzianych lub ołów zawierających (źle emaliowanych). Często też szkodliwy jest susz z sit drucianych — zwłaszcza susz fabryczny, jak n. p. amerykańskie jabłka suszone, które dla utrzymania pięknego koloru bywają przed suszeniem silnie siarkowane, a to samo tyczy się różnych śliwek i moreli suszonych. Najlepiej owoce zagotowywać w naczyniach kamiennych lub dobrze cynkowanych miedzianych — a jeszcze lepiej w aluminiowych.

Co do przechowywania konserw owocowych, to najodpowiedniejsze są słoje szklane, zwłaszcza z ciemnego szkła.

Ożywianie zwiędłych kwiatów i gałązek.

Obciąć nieco u dołu szypułki i wstawić do naczynia ze świeżą wodą, do której wlano przedtem kilka kropel spirytusu kamforowego, a w krótkim czasie kwiaty i liście odświeżą się, odżyją.

Drukiem i nakładem „Prawdy” pod zarządem Józefa Jondry w Krakowie.